

Wszelkie podobieństwo osób opisanych w opowiadaniu do osób istniejących naprawdę jest ściśle zamierzone :)

Osoby wymienione w opowiadaniu niech się obrażają, to tylko żarty :)

Osoby nie wymienione w opowiadaniu niech się nie obrażają, bo dobór był w sumie przypadkowy :)

Podczas gdy Ijon Tichy i Janek Enem radośnie się zabawiali (pisanie), przede mną, czyli rednaczem tego bajzlu, stało zadanie po tysiącokrotnie trudniejsze: całą tę epicką opowieść zakończyć. Ci dwaj osobnicy, nie bacząc na konsekwencje, opisywali bezwstydnie wszelkie pozakulisowe machinacje dziejące się podczas powstawania kolejnego wydania kącika, tym samym wpłatając mnie w coraz poważniejsze tarapaty. Toteż siedziałem na swoim wirtualnym złotym tronie (słownik wyrazów obcych podaje: "wirtualny" znaczy "mogący zaistnieć") i łamałem głowę, jakie by tu zakończenie wysmażyć. Na szczęście nie łamałem własnej głowy - używałem do tego drewnianej kukielki, będącej podobizną agenta Leszczyńka - gburą i chama zza miedzy, który jakiś czas temu nawiedził moje centrum dowodzenia, uszczuplając przy okazji szereg moich własnych agentów urabiając ich frazesami, przy których nawet hasło "w UE będzie lepiej" przestało budzić emocje. Ale, jak sobie przypominam, udało się odeprzeć inwazję Leszczyńka i jego klonów dzięki pomocy Ijona... No i na końcu niedobry agent dostał mopem w ciemię i zdrewniał. Dosłownie. Stąd ta kukielka, której pusta, drewniana głowa pękła z trzaskiem przywodzącym na myśl Boże Narodzenie... łupanie orzechów do ciasta...

Stosik kukielek z połamanymi główkami rósł, godziny mijały, a ja wciąż nie miałem pomysłu na zakończenie (wiem, że to widać). Podparłem głowę ręką i wpatrywałem się posępnie w paciorkowate, iskrzące się oczy kolejnej kukielki.

- Gdybyś mógł mi powiedzieć, co napisać w tym zakończeniu, najlepiej coś takiego, żeby zasługiwało na to "Grand Finale"... - powiedziałem cicho do siebie, żywiąc irracjonalne przekonanie, że kukielka odpowie.

- Hej! - rozległ się nagle jakiś głos. Podniosłem głowę i natychmiast schwyciłem mopa w obronny gest myśląc, że to Leszczynek się re-animował (słownik wyrazów obcych podaje: "animacja" to "wprawienie w ruch, sterowanie i stały nadzór nad skomplikowanymi funkcjami motorycznymi"), ale kukielki trwały w bezruchu. Owo "hej" należało do Rainmana, który właśnie wpadł na chwilę przez Rozejrzenie Natychmiastowe (słownik wyrazów obcych podaje: "Rozejrzenie Ekspresowe" - "Outlook Express").

- Co słychać? - zapytałem rozentuzjasmowany, bo dawno mojego czcigodnego poprzednika zgredata nie widziałem.

- Przystanek Woodstock słychać! A u ciebie?

- Bida z nędzą... łamię sobie głowę nad zakończeniem Sagi - kolejna główka chrupnęła, tym razem przy akompaniamencie podwójnego "ping", gdy oczka zrykoszetowały o posadzkę - ale kompletnie nie mam pomysłu...

- Widać - powiedział Rainman, bo w sumie szczerzy to osobnik.

- Może jakieś porady od osoby, która Widzi Wiele?

- Mogę dać tylko swoje - zaproponował. - Rozwiązanie problemu jest bardzo proste, tylko go nie widzisz. Pomyśl: kto pisze do kącika?

- Różni mania... ehem, różni ludzie...

- A co ich wszystkich łączy?

Nagle wichur tych słów zwił zeschłe liście z jaskrawego neonu w mojej głowie: POMYSŁOWI LUDZIE! Oczywiście! Wielu brakuje może doświadczenia, ale jedno trzeba przyznać - pomysły to

czasem trafią się takie, że ho ho...

- Już wiem! Dzięki! - zakrzyknąłem i chciałem uścisnąć Rainmanowi dłoń w geście wdzięczności, ale me słowa trafiły w pustkę. Rainman zniknął, ale nieco już podbudowany ruszyłem na poszukiwania kogoś, kto może mi zapodać pomysł na Grand Finale Sagi.

Szedłem sobie przez osiedle zwane pieszczotliwie Piekiełkiem (słownik wyrazów obcych podaje: "Piekiełko" - "wierzcie lub nie, ale to autentyczna nazwa") gdy nagle moją uwagę przykuł jakiś harmider. Skierowałem się w tamtą stronę - może się trafi jakiś ubaw za darmo. I co widzę - grupę kilkunastu kulturalnych młodych ludzi w szerokich spodniach i kapturach na wygolonych głowach (nie widziałem wprawdzie tych wygolonych głów, ale mogę postawić każde pieniądze, że takie były) flegmatycznie trepujących jakiegoś agresywnie leżącego na chodniku młodziana. Normalnie bym przystanął i popatrzył, nawet pokibicował, lecz migający między podróbkami Adidasa kształt na chodniku wydał mi się jakoś znajomy. To był Enem! Musiałem wkroczyć do akcji. Jakoś zareagować. Przerwać to wszystko w radykalny sposób.

- Przepraszam najmocniej panów! - zacząłem. Kilkunastu osobników naraz obróciło się ku mnie; z mrocznych głębin kapturów błyskały białka ich oczu. - Dzień dobry! - kontynuowałem. - Czy moglibyście przestać kopać tego młodzieńca? Mam do niego pewne zapytanie!

Zapadła cisza; wytworzyła się próżnia dźwiękowa tak potężna, że wchłonęła odgłos przejeżdżającej ciężarówki. Od napięcia powietrze zdawało się drgać, mięśnie były naciągnięte do granic wytrzymałości. Jeśli ktoś by w tej chwili kichnął, prawdopodobnie niebo by pękło i zawaliło nam się na głowy. Oni patrzyli się na mnie. Ja patrzyłem się na nich. Usta stojącego najbliżej mnie kapturowca otworzyły się celem nabrania powietrza w płuca.

- Dzień dobry, proszę bardzo, właściwie już skończyliśmy. - Grupa zaczęła się natychmiast rozchodzić. - Życzymy miłego dnia! - usłyszałem, kiedy ostatni inteligentny młody człowiek zniknął za rogiem bloku.

- Widzisz Janku, istnieją też i takie sposoby - nie mogłem powstrzymać się od moralizowania w tekście.

- Jjaa... iiich... przec... ież... toleruję... - mówił niezgrabnie Enem, kiedy pomagałem mu podnieść się na nogi.

- A powiedziałeś im to?

- Chciałem... ale... od razu... zaatakowali...

- Trzeba było mówić szybciej. I ubrać inną koszulkę niż tą z napisem "Death to all hiphop".

- Sp... - Enem zachwiał się, ale w porę złapał równowagę - spróbuję...

- Janku, ale nie mówmy o takich błahostkach - miałem wrażenie, że Enem nie słucha i całą uwagę koncentruje na sprawdzaniu, które zęby mu się kiwają, ale postanowiłem mówić dalej - jest pewien problem.

- Co ty nie powiesz?

- Mam problem z wymyśleniem zakończenia do Sagi.

- To widać - Janek sprawdzał teraz, które żebra wydają się być obluzowane. - Ja ci chwilowo nic nie doradzę, mam trochę własnych zajęć, jak widzisz - i zamilkł, próbując zatamować nagły krwotok z nosa.

- W sumie racja, zresztą napisałeś kilka odcinków, a z zakończeniem... jakoś sobie poradzę. Trzymaj się!

- klepnąłem przyjacielsko Janka w plecy na pożegnanie i musiał on zacząć liczenie obluzowanych zeber od początku.

Nie wiedziałem jeszcze, że z jednego z okien bloku ktoś bacznie mi się przyglądał.

Na Piekiełku co i rusz spotykałem znajomych - głównie demony i diabły, które przybyły w

opowiadaniach czytelników. Gdzieś tam zataczał się diabeł z "Bimbermana" Berserkera, Legion machał przyjaźnie przechodząc drugą stroną ulicy; w jakimś zaułku zauważyłem też Pawła z "Kruka" autorstwa NoNameMana; nie wiedzieć czemu, Paweł akurat wycierał ogromny miecz szarą szmatką. Pomyślałem, czy by nie zapytać właśnie tych autorów, czy mogą podsunąć mi jakiś pomysł na zakończenie - ale zaraz przypomniałem sobie, że właśnie siedzą w multikinie i oglądają aktorską wersję Evangeliona, nie chciałem psuć im wrażeń. I tak mi opowiedzą...

Zatrzymałem się i rozglądałem bezradnie - znikąd ratunku! Oj, coś cienko widzę to Grand Finale... Nagle mój wzrok zatrzymał się na wielkim, gotyckim budynku, będącym w istocie kryptą. Nie byle jaką, dodajmy! Dwupiętrową, z łazienką i klimatyzacją, piwniczką wypełnioną różnymi dobrami w płynie, wygodnym salonem do przepytывania autorów oraz korkową tablicą z przypiętymi do niej biletami autobusowymi, płaconymi według taryfy nocnej. Wiedziałem to wszystko, bo przecież znam mieszkańca tej krypty. Istnieje tylko jedna taka osoba. Vampir Kury.

Wszedłem pewnym krokiem w mroczne wnętrza krypty. Nie widziałem dalej niż długość ręki - odległość pozwalająca nie wpaść na jakąś przeszkodę, których w krypcie było mnóstwo - zastrzone pale, potężne halabardy gotowe rozplatać niczego nie spodziewającego się intruza. Wtem jakiś cień przemknął obok mnie - wyczułem to po ruchu powietrza. I rozległ się wyraźny, powolny głos:

- AVE, MY MASTAH.

- Eee... witam!

- CÓŻ CIĘ SPROWADZA DO MOJEJ KRYPTY?

- To znaczy... mam takie zapytanie... ale czy mógłbyś mówić tak trochę... bardziej tak... hm...

-Ach, wiem o co chodzi..... To przez te ściany, dają taki pogłos..... Przejdźmy do salonu.....

Vampir poprowadził mnie korytarzem do pomieszczenia, gdzie przeprowadzał wywiady z autorami; wprowadził fotele z czerwonym, pluszowym obiciem, żyrandol z energooszczędną żarówką i sztuczna paprotka nieco gryzły się z resztą wystroju krypty, ale, jak powiedział Vampir, "to zwykły chwyt marketingowy".

Usiedliśmy. Splotłem ręce i spuściłem głowę zastanawiając się, jak zacząć.

- ...powiem krótko - chcę skończyć Sage...

-Jeszcze herbaty?..... - spytał Vampir Kury, chwytając za imbryczek z namalowanym z boku kwiatkiem. Chyba tulipanem.

- Nie, dziękuję. No więc chciałem zakończyć to wszystko w naprawdę wielkim stylu, napisać coś pasjonującego, odkrywczego... - przestałem wyliczać widząc wyraz niedowierzania na obliczu Vampira - ale nie mam pojęcia, jak to zrobić. Po prostu: nie mam pomysłu...

-Widać..... - podsumował Vampir.

- Możesz coś poradzić?

Mój rozmówca odchylił się w fotelu; mógłbym przysiąc, że kontakt z miękkim pluszem na ułamek sekundy wprowadził go w stan paniki. Milczał przez chwilę, po czym odezwał się tymi słowami:

- w tak krótkim czasie nic nie wymyślę.....zresztą za chwilę przychodzi kolejny autor na śnia...
.....na rozmowę.....

- No rzeczywiście, zapomniałem... słuchaj: nie będę ci przeszkadzał, po prostu poszukam kogoś innego...

-As you wish, master..... - zakończył Vampir, wstając z fotela. Gdy już wychodziłem, usłyszałem:

-I podaj mi jeszcze kilka mejli autorów.....jestem dzisiaj bardzo głodny.....

Szedłem dalej, tak mocno zamyślony, że prawie przekroczyłem linię śmierci (słownik wyrazów obcych podaje: "linia śmierci" - "dedlajn, termin, do czasu którego wszystkie kąciki muszą być złożone") i omal nie dostałem się pod kopyta quia zaprzęzonego do dorożki. W głowie mignęły mi aluzje do francuskiego

męża polskiej noblistki, ale pomyślałem że to nie wypada i kontynuowałem podróż, bardziej już uważając.

Jak się później okazało, z okna dorożki ktoś mi się przyglądał...

Na granicy Piekiełka z innymi dzielnicami stało wielkie i posępne domostwo, rezydencja zła. Zamieszkiwał w niej Winix; wynajął tą willę na czas pisania cyklu "Lost Soul", ale choć skończył (tu poklepałem się po kieszeni, w której spoczywał manuskrypt z ostatnimi odcinkami), tak mu się spodobała okolica, że postanowił zostać. On może mi podpowiedzieć pomysł na zakończenie!

Nacisnąłem dzwonek. Rozległ się głęboki, dudniący dźwięk, przywołujący na myśl wycie dochodzące z dna głębokiej studni... Domofon zatrzeszczał i rozległ się głos:

- Czego?

- Cześć, to ja. Właśnie szu...

- Pakuj się do środka.

Skrzydło potężnych drzwi rozwarło się samoistnie, z akompaniamentem cichego skrzypienia. Wnętrze pełne było zakurzonych rzeźb; praktycznie nie można było poznać, że w tym domu mieszka jakaś żywa dusza. Drzwi zamknęły się nagle i wraz z odgłosem zatraskiwania się ich znikło wszelkie światło w holu. Zostałem sam w ciemności.

Wymacałem gdzieś świecznik i zapalki. Wiedziałem, że jeśli gdzieś w tym domu przebywa Winix (i jest jeszcze żywy), to na pewno ukrył się na strychu. Ruszyłem przed siebie.

Pierwszy zombiak wcale mnie zaskoczył; człapał po korytarzu, wyraźnie znudzony. Sięgnąłem ręką za plecy oczekując oparcia w solidnym drewnie mopa; niestety pomyliłem się: gdy w pośpiechu wychodziłem z AM#O, zamiast mopa wziąłem dwururkę, a w kieszeni kurtki wymacałem nieskończony zapas amunicji; prawdziwy pech.

- Ten dom jest za mały dla nas dwóch - puściłem szpanerski tekst i zmieniłem tors zombiaka w masę połamanych kości wyzierających z gnijącego mięsa; w miejscu nieruchomego serca truposza ziała głęboka dziura. Zombiak powoli opuścił głowę żeby sprawdzić, co się stało.

- Coś ty kurwa zrobił... - wycharczał i padł na podłogę.

- Cięcie, cięcie! - rozległ się krzyk i zapaliły się potężne światła, oślepiając mnie. Gdy już mogłem je otworzyć, zobaczyłem stojącą przede mną postać.

- Winix? Myślałem, że nie żyjesz!

- Wielkie dzięki. A kto niby mówił przez domofon?

- No cóż... ale ja tu w innej sprawie... Zaraz, co tu się właściwie dzieje?

- Robię ekranizację "Ostatniej woli"... posypały się komentarze, trzeba korzystać póki można!

- No tak... ale ja przyszedłem z pewnym problemem - piszę zakończenie Sagi, ale nie mam pomysłu...

- Widać - powiedział Winix, stojąc nad dymiącym zezwłokiem i kręcąc głową w niezadowoleniu.

- Może mógłbyś mi coś podpowiedzieć?

- W tej chwili to ja jestem bardzo zajęty. Właśnie wypadł z ekipy mój jedyny aktor...

Opuściłem rezydencję w trybie natychmiastowym.

Jednak, jak się później okazało, z okna jednego z pokoi tego przeklętego domostwa ktoś mnie obserwował...

Powoli zaczynało ogarniać mnie przygnębienie. O kim bym nie pomyślał, to ten ktoś już był zajęty. Scooter Fox wyjechał z Vaeille do jakiejś małej wsi w celu badania tamtejszych legend i był

nienamierzalny, Moyra przesiadywała w zakładzie dla psychicznie niepoważnych i notowała obserwacje do kolejnego opowiadania, a military ganiał po innych matematycznych płaszczyznach w poszukiwaniu tematów i ludzi do pisania drugiej serii "Empatii" (jak on nie zwariuje od tego wszystkiego?). Usiadłem na ławce w parku i zastanawiałem się, co dalej, gdy nagle jedną z alejek coś przemknęło tak szybko, że nie zdążyłem zarejestrować, co to było. Ale gdy zauważyłem goniący to coś (tego kogoś?) tłum emerytów już wiedziałem, kto to był. Ijon Tichy. Sprawca całego zamieszania. Ten, który wymyślił AM#Opowiadania Sage, choć w kwestii nadawania tytułu się nie popisał... zaraz... przecież to ja wymyśliłem tytuł...

Postanowiłem zapytać Ijona, wręcz go zmusić (dokładnie, wręcz - walką, jeśli będzie trzeba) do podania jakiegoś pomysłu na zakończenie. Ale to wymagało uratowania go przed bandą brutalnych i rozpasanych popkulturą emerytów. Puściłem się biegiem za czołówką peletonu.

Dopałem do nich w ostatnim momencie; Ijon opierał się o ścianę domu, dysząc ciężko. Został zapędzony w ślepy zaułek: z tego podwórka było tylko jedno wyjście. To, które zagradzali emeryci. Musiałem mu pomóc. Wystąpiłem naprzód, nabrałem powietrza w płuca i krzyknąłem:

- Zostawcie go!

Twarze, które zwróciły się ku mnie, przepełnione były bezbrzeżną nienawiścią. Uznałem, że jakakolwiek rozmowa nie ma sensu. I znowu sięgnąłem za siebie; moja dłoń trafiła na jakiś rulon. To był plakat z "Matrixa", prezent od Ijona. Pierwszy, najodważniejszy z grupki, ruszył w moim kierunku; zamachnąłem się plakatem i uderzyłem krewkiego emeryta (tak naprawdę wyglądał na kołosa z załatwioną rentą) w brzuch tak mocno, że poleciał w tył i uderzył plecami w trzepak. Włożenie metalowej rurki w rulon z plakatem to już była moja własna prywatna modyfikacja.

Teraz emocje emerytów z dzikiej furii wyewoluowały do stanu zimnej nienawiści; przystanęli i chwilę wpatrywali się we mnie, przewiercając wzrokiem. Wykonałem szybki pokazowy młynek i założyłem rulon za plecy jedną ręką, a drugą pokiwałem na nich, żeby podeszli. Grupa kilkunastu emerytów ruszyła na mnie równocześnie.

Wziąłem krótki zamach plakatem i podkosiłem pierwszemu z brzegu nogi po czym wyskoczyłem w powietrze kręcąc się niczym żywe śmigło, trzymając plakat w wyciągniętych do przodu rękach; przefrunąłem nad głowami wrogów i znalazłem się za ich plecami, lecz na chwilę tylko, bo zaraz mnie otoczyli. Zacząłem kręcić kolejny młynek; w końcowym jego etapie kolejny emeryt dostał tak, że stracił równowagę i zapadł do walki. Niski, szeroki zamach plakatem podkosił tych stojących najbliżej; kątem oka dojrzałem emeryta, który właśnie chciał na mnie z boku wyskoczyć. Natychmiast przełożyłem rulon w dłoniach do pionu tak, że mogłem szybkim ruchem wysłać kolejnego starca aż na poziom trzeciego piętra; usłyszałem brzęk tłuczonego szkła gdy wpadał przez okno, ale nie zwróciłem nań uwagi - dwóch kolejnych emerytów chwyciło mnie za ramiona, a trzeci szykował się do ciosu w splot słoneczny. Obydwoma rękami wydzwignąłem rulon niczym sztangę uderzając w głowę trzymających mnie dziadków, równocześnie przy tym wybijając się do przodu i traktując trzeciego adwersarza z glana.

Zaczęli zachodzić mnie z bokowców; poruszałem rulonem niczym podwójnym wiosłem, blokując ich ciosy. Przeskakiwałem właśnie nad starcem podnoszącym się z betonowej posadzki, gdy na czołówkę ze mną wyskoczył kolejny emeryt. Kombinacja mojego własnego pędu i siły włożonej w cios plakatem zbiła dziadka z jego toru ruchu niczym nagły podmuch huraganu. Kolejny skradał się z tyłu, więc jednym płynnym ruchem trafiłem i w niego. Przeszusował on po ziemi łamiąc po drodze ławkę, aż w końcu z impetem uderzył w ścianę domu.

- Więcej! - zakrzyknął i podniósł się tak, jakby się nic nie stało.

Zaczął ogarniać mnie przekonanie, że zaczynam panować nad sytuacją, ale myliłem się - emeryci wciąż się podnosili... w dodatku dostrzegłem, że z okolicznych kamienic zaczęły wybiegać tłumy nowych - wszak jako naród jesteśmy coraz starsi...

Sprawy przybrały dużo gorszy obrót. Zacząłem biec w kierunku nowej grupy wywijając wściekle plakatem licząc, że przebiję ich szeregi - ale tłum pięści był zbyt gęsty, abym zdążył sparować wszystkie ciosy. Jedna koścista dłoń wylądowała na mojej szczęce; na krótką chwilę zobaczyłem błękit nieba i zrozumiałem że zaraz wyląduję na plecach, a wtedy emeryci mnie strepują i będzie po sprawie. Błyskawicznie obróciłem się w locie na bok i podparłem o ziemię za pomocą rulonu; nogi znalazły oparcie na pionowej powierzchni, którą stanowiła klatka piersiowa emeryta. Zacząłem się odbijać nogami od nadbiegających emerytów, coraz szybciej i szybciej jak w jakiejś żywej karuzeli, ich twarze zlewały się w jedną galaretowatą masę, ale mimo rozdawanych kopniaków ich tłumy nie rzedyły. Wyszedłem z tego młyna szybko lądując na ugiętej w kolanie nodze i od razu wyprowadziłem szybki zamach plakatem na poziomie klatki piersiowej; niestety emeryci się już tego triku nauczyli. I pochylili się.

Jednym kopem wytrącili mi plakat; odruchowo popatrzyłem się za nim i dostałem kilka ciosów na korpus. Jedyne co mogłem teraz zrobić, to wyskoczyć w górę. Zacząłem skakać po głowach emerytów niczym jakaś zwariowana gwiazda rocka na koncercie; ci, mimo starań, nie mogli mnie dosięgnąć.

Zgubiła mnie w tym momencie pewność siebie - odwróciłem się, a wtedy jeden z emerytów za pomocą kolegów odbił się w górę i runął na mnie niczym pocisk, przygważdżając do ziemi. Natychmiast dziesiątki wychudłych, a jednak niesamowicie silnych dłoni mnie chwyciło; nie mogłem się ruszyć. Wiedziałem, że sobie już nie poradzę.

- Stać!

To był głos Enema.

- Dzień dobry!

O nie... on próbuje tego samego, co ja na Piekielku z kapturowcami... Już po mnie...

- Wiem, dlaczego gonicie Ijona!

To coś nowego.

- W pierwszym odcinku AM#Opowiadania Sagi, pędząc do Niezależnego Mózgu, Ijon przewrócił planszę grającym w szachy staruszkom, czy tak?

Cisza.

- Przypadkowo do kieszeni wpadł mu pionek, biały, dodajmy! Dlatego go gonicie! Chcecie odzyskać pionek. Oto i on!

Podniosłem głowę. W dłoniach ubranego w czarny lateksowy kostium Enema pionek lśnił niczym kawałek szkła na pustyni. Był to w tej chwili najpiękniejszy przedmiot, jaki mogłem sobie wyobrazić.

Dłonie zwolniły uścisk; tłum emerytów wchłonął Janka i poszedł dalej, zostawiając Enema bez pionka i obrzydliwie zadowolonego z siebie.

- No i co? Nie próbowałeś z nimi rozmawiać? - zapytał prowokacyjnie.
- Nie moralizuj w swoich tekstach - poradziłem. A tak w ogóle, to dzięki - powiedziałem, podnosząc nieco pomięty rulon. Po odwinieciu okazało się, że rurka w środku też była wykrzywiona tu i ówdzie. Ijon stał pod ścianą; nie dyszał już wprawdzie, ale minę miał nadal niewyraźną.
- Nie przejmuj się - powiedziałem. - Przynajmniej nie będziesz się musiał tak śpieszyć, idąc po ulicach, będziesz miał czas pomyśleć nad jakimś opowiadaniem...
- Ta...

Staliśmy tak chwilę nie wiedząc co powiedzieć; zapadła krępująca cisza. Wreszcie się odezwałem:

- Przyszedłem do ciebie właśnie w sprawie Sagi... Miałem zamiar napisać jej zakończenie, ale kompletnie nie mam pomysłu...
 - Przez ostatnie chwile prawie nie było tego widać...
- Iskra nadziei pojawiła się w mojej głowie.
- Mógłbyś zaproponować jakiś pomysł!? - zapytałem podekscytowany.
 - Ja? Ależ nie. Jest przecież O.R.A.C.L.E. Ciocia W.
- Bulwa mać, no jasne. Któż mógłby wiedzieć więcej o zakończeniu niż przepowiadaczka przyszłości? Niż ciocia W.?
- Ijon, dzięki. Bez ciebie nigdy bym tego zakończenia nie napisał...

Jeszcze nigdy mi się tak nie śpieszyło do cioci W.; powoli zbliżał się koniec odcinka Grand Finale, a tu jeszcze nie było nic ciekawego. Może wreszcie ciocia W. mi coś powie?
Śmiało otworzyłem drzwi i wszedłem do środka. Ciocia W. oglądała właśnie "Ring" na wideo.

- Wejdz, wybrańcze.
- Nie rozumiesz ciociu, to ja, rednacz AM#Opowiadań. Nie jestem wybrańcem, to ja wybieram. Które teksty wejdą kącika, mówiąc ściślej.
- Tak. Ale wkrótce będziesz w swoich rękach trzymał życie swoje i drugiej osoby...
- Niby kogo?
- Nikogo, śmieciu! - ciocia W. podniosła się błyskawicznie z postrzępionej sofy i zerwała maskę z twarzy. Okazało się, że stoi przede mną... Łukasz Gwiedznospacerownik, który przeteleportował się tu z Dzedaj Sagi! To było zaskoczenie. W tym momencie z szafy wypadła prawdziwa ciocia W., związana i zakneblowana.
- Po co ta mistyfikacja? Dlaczego tu jesteś?
- Co ty wiesz o mistyfikacjach... Obserwowałem cię cały czas! Słyszałem, że mianujesz się Mistrzem Ciemnoty. A moja religia nakazuje zwalczać odstępstwa od wiary! - teraz dotarło do mnie, że Łukasz ma na głowie turban.
- Mistrz Ciemnoty, ze względu na tło kącika... - próbowałem być zgodny sam ze sobą i starać się najpierw porozmawiać. Co z tego, skoro Łukasz wyciągnął miecz świetlny i zapalił go; rozległo się charakterystyczne buczenie pulsującego ostrza. Nie miałem wyboru, sięgnąłem po swój lajtzaber. Nigdy się nie chwaliłem, że mam taki, bo kupiłem go od ekipy "Mrocznego Widma", a to podobno wstyd. Ale ten lajtzaber ciął stal jak masło, więc nie ma sensu z tego powodu popadać w kompleksy.

Nasze ostrza zwały się po raz pierwszy powodując snop iskier, ale już pierwszy ruch Łukasza stanowił pewnego rodzaju niespodziankę. Spodziewałem się, że zaprezentuje on starą talibańską szkołę fechtunku, ale nie - Łukasz wykonał ruch nie opisywany w Świętej Księdze Zabijania Niewiernych; krótko mówiąc, za to proste cięcie od dołu Łukasz według jego wiary trafi do piekła. Coś mi się tu nie zgadzało. Sprowokowałem mojego przeciwnika do następnego cięcia; ten wykonał pchnięcie w lewe biodro,

popołniając grzech śmiertelny przeciw sztuce. Teraz już byłem prawie pewien. Wskoczyłem przez okno na schody przeciwpożarowe, a Łukasz pognął za mną. Walczyliśmy tak wchodząc na górę, na sam dach. Nagle zaczął padać deszcz; drobne krople spadały na nasze lajtzabery, znikając natychmiast pod postacią obłoków pary. Zapadał zmierzch.

Walczyliśmy długo i zaciekle; Łukasz wprawdzie walczył w zaskakujący sposób, ale byłem w stanie sobie z nim poradzić. Wiedziałem, że w tej walce główną rolę będzie grało szczęście. Które uśmiechnęło się do mnie.

Łukasz nie spodziewał się pokładów gołębiego guana, które zalegało na dachu i poślizgnął się; a że, jak już wspomniałem, tego dnia nie miał szczęścia, upadł na własny lajtzaber, który przebił go na wylot.

Łukasz znieruchomiał; byłem mokry od deszczu i potu, dyszałem ciężko. Zgasilem własny lajtzaber (przy okazji - nie był on różowy; był srebrno-zajebisty) i odwróciłem się w stronę schodów przeciwpożarowych. Stała na nich ciocia W., która najwyraźniej zdołała się wyplątać jakoś z więzów.

- I teraz musisz zostać wybrańcem - powiedziała cicho.

- Ale jak to, ciociu W.? Przecież pokonałem Łukasza... czy to nie wystarczy na zakończenie? To nie jest właśnie ten pomysł na Grand Finale?

- Pomyśl, chłopcze: czy poślizgnięcie się na gołębim gównie można nazwać Grand Finale?

Tu ciocia W. miała niestety rację. Tym razem sam musiałem to przyznać - widać było brak pomysłu.

- I co teraz? - zapytałem cioci W.

- Spójrz za siebie.

Tak też zrobiłem.

Za mną stał Łukasz, mający nadal w bebechach zapalony lajtzaber. Jego twarz była martwa, oczy puste. Zaczęło nagle robić się bardzo ciemno, deszcz nasilił się, słychać było w oddali pierwsze grzmoty. Para wodna unosiła się nad ostrzem lajtzabera. Twarz Łukasza zasnuł obłok pary, a gdy się rozwił, jego twarzy już tam nie było. Z białej chmury wyłonił się czarny kształt, w którym odbiła się zielona błyskawica. Okulary "lustrzanki". Okulary agenta Leszczynka.

Popatrzył on na lajtzaber tkwiący w jego ciele; ujął ostrze gołą ręką, wyjął i stłumił strumień energii samą dłonią.

- Jak... jak on to robi? - pytanie było skierowane do cioci W.

- Musisz poznać naturę agenta Leszczynka. Jest to apostoł znieczulicy, głupoty i analfabetyzmu w naszym świecie, w świecie AM#Opowiadań... Głosiciel uwielbienia dóbr materialnych za cenę wyzbycia się myśli, marzeń... za cenę wyzbycia się pisania opowiadań... Mesjasz schematów, szablonów, zniewolenia umysłu... najchętniej wpędziłby nas do jakiejś maszyny, która mówiłaby, co mamy myśleć i wielu dałoby się skusić...

- Dostyc tego intelektualnego bełkotu - słowa rzucane przez Leszczynka cięły niczym lodowe bicz.

- Nie, nie, dokończę... agent Leszczynka mógł zgasić lajtzaber, gdyż tak naprawdę nie istnieje w naszej rzeczywistości, nie wierzy w nią. Pod postacią Łukasza przebywał w świecie AM#Opowiadań nierozpoznany, ale gdy objawił nareszcie swoją pełną postać... od razu zapanowała ciemnota. - Istotnie, nagle zapadł gęsty mrok, rozświetlany błyskawicami. Deszcz padał tak gęsty, że z trudem dostrzegałem Leszczynka.

- Po co całe to gadanie, skoro już zapanowałem nad tym światem? Skoro moc prawdziwej ludzkiej ciemnoty w ciągu paru chwil wchłonęła cały kącik AM#Opowiadania? - słowa Leszczynka były przerażająco prawdziwe, ale nie mogłem w nie uwierzyć.

- Nie panujesz nad kącikiem! Nikt nad nim nie panuje! Nawet rednacz, czyli ja!

- Przekonamy się? - powiedział agent i w mgnieniu oka zamiast na dachu, znajdowaliśmy się na ulicy. Przy niej stały drapacze chmur pochodzące z kilku opowiadań dziejących się poza granicami Polski; deszcz zalewał nam twarze. Kolejny grzmot i ujrzałem na chodniku szereg postaci, wpatrujących się w nas. Postąpiłem kilka kroków do przodu, rozglądając się. Byli to autorzy opowiadań, którzy przez cały okres istnienia kącika pisali i przysyłali teksty. Jedni wpatrywali się we mnie z nadzieją na ocalenie kącika, drudzy patrzyli na to z obojętnością. Inni byli ciekawi, kto wygra, w oczach jeszcze innych na mój widok igrały błyski nienawiści bądź żalu. Dostrzegłem jeszcze ciocię W., która układała usta w słowa: musisz zostać wybrańcem. Lecz głosem, który do mnie dotarł, był ten należący do agenta Leszczynka.

- Podoba się panu to, co uczyniłem z tym miejscem? - agent był już bez turbanu i białych szmat Łukasza; teraz ubrany był w przepisowy garnitur.

- To się skończy dzisiaj.

- Ty albo ja. I to będę ja - agent Leszczynek po prostu stwierdził fakt.

Ruszyliśmy na siebie.

Biegłem niemal się przedzierając przez zasłonę wody; ledwo widziałem pędzącego na mnie Leszczynka. Podświadomie sparowałem jego cios i wyprowadziłem krótką, czystą serię w korpus. Byłem maksymalnie skoncentrowany; odchyliłem się na jednej nodze przed ciosem agenta i natychmiast powróciłem do pozycji pionowej by wyprowadzić cios w głowę, lecz agent zablokował i uderzył od dołu, lecz udało mi się przyblokować przedramieniem. Blok, cios, drugi, unik, cios, unik, trzy ciosy. Wpadłem w coś w rodzaju transu; Leszczynek nie mógł wyprowadzić żadnego sensownego ataku. Postanowiłem zaryzykować i wziąłem większy zamach, lecz agent to doskonale wychwycił i też wyprowadził silniejszy cios.

Trafiliśmy się równocześnie; otrzymałem tak silne uderzenie, że odleciałem kilka metrów w tył. Wywinąłem salto tylko po to, żeby nie upaść na twarz; przyklęknąłem i podniosłem głowę. Mój cios był silniejszy.

Leszczynek zarył w asfalt; została po nim bruzda jak po starcie odrzutowca. Ale nie zrobiło to na nim wielkiego wrażenia. Po prostu wstał. I wzbił się w powietrze.

Zaskoczył mnie tym ruchem; przecież nie umiałem latać. Jak go dorwać? Patrzyłem na spadające strumienie wody; krople przyjmowały rozmaite kształty. I wtedy zrozumiałem, co mówiła ciocia W.

To jest świat AM#Opowiadań, który każdy z nas w jakiś sposób kształtował; a skoro mógł stwarzać, to i umiał się w nim poruszać. Wystarczyła chwila, by krople stały się spadającymi literami; były to opowiadania, rozbite przez Leszczynka na bezsensowny przekaz. Powietrze okazało się tylko opisem; wystarczyło trochę zmienić ten opis, by wznieść się w powietrze. Szybko próbowałem zmienić też opis Leszczynka, ale moc ciemnoty w nim tkwiąca okazała się zbyt potężna dla mnie; jednak musiałem dalej walczyć.

Starliśmy się w powietrzu, rozchlapując strugi deszczu; spadły one na autorów poniżej w postaci literówek wynajdywanych przeze mnie w tekstach. Ja, nieprzyzwyczajony do walki w powietrzu, dałem się chwycić i rzucić sobą o ścianę, którą przebiłem.

Leżałem na podłodze, plując krwią. Agent próbował mnie staranować, ale przeskoczyłem szybko nad nim; ledwo mi się to udało. Leszczynek wyhamował w powietrzu; łagodnie opadł na podłogę pomieszczenia, w którym się teraz znajdowaliśmy.

- Czy czuje to pan, panie Saint? Moc głupoty i analfabetyzmu, która i beze mnie wkrótce by zżarła ten pożałowania godny kącik? Czy ten kącik ma w ogóle jakieś znaczenie!?

Podniosłem się. Natychmiast.

- Ma.

Agent bez słowa ruszył. Starłem się go zaskoczyć wysokim kopnięciem, lecz się schylił, próbując

wyprowadzić cios, ale musiał zablokować moje drugie, szybkie kopnięcie. Dał się nabrać na zamarkowany niski cios pięścią i nadział się na kopniak; jego głowa odskoczyła, kilka zębów poszybowało w dal. Drugi kop, silniejszy i mierzony minimalnie wyżej, stracił Leszczynekowi okulary. Trzeci kopniak wyprowadzony z półobrotu posłał agenta przez cienką ścianę na zewnątrz, pod strugi wciąż padającego deszczu.

Leszczynek z trudem wyhamował; wściekłość dodała mu tylko sił. Nie namyślając się wiele, wyleciałem za nim. Zderzyliśmy się generując potężną falę uderzeniową, która rozepchnęła wodę i wybiła szyby wieżowców. Walczyliśmy wirując w strugach wody i deszczu szklanych odłamków, lecąc wciąż w górę i w górę. Udało mi się obrócić w powietrzu i kopnięciem odesłać Leszczyńka na kilka metrów, samemu mając czas na przygotowanie ataku. Rozpędziłem się i uderzyłem wślizgiem, jeśli można mówić o wślizgu w powietrzu - w każdym bądź razie Leszczynek dostał kilka kopów w korpus i głowę, ponownie odlatując w dal.

Unosiłem się obserwując ruchy agenta; poruszał się spokojnie wśród strug deszczu niczym rekin w oceanie; powoli nabierał prędkości. Przygotowałem cios. Kto będzie szybszy?

Leszczynek ruszył.

Krople wody spływały z niego niczym ze skrzydeł odrzutowca, tak szybko leciał; już-już miałem zadać cios... minimalnie, na ułamek sekundy zawahałem się. To wystarczyło Leszczynekowi.

Otrzymał cios zamroził mnie i pozbawił sił; prawdopodobnie spadłbym w tym momencie na ziemię, ale agent miał inne plany. Chwycił mnie mocno i zaczął pikować w dół.

Usłyszałem krzyk i zrozumiałem, że to mój własny; chwilę potem nie było już nic.

Powoli przytomniałem; kiedy obraz się nieco wyostrzył, gdy odgarnąłem wodę spływającą mi po oczach, zobaczyłem TĘ twarz. Agent Leszczynek. Zadarł głowę do góry i wpatrywał się w przecinane zielonymi błyskawicami niebo.

- Dlaczego, panie Saint, dlaczego? Po co pan to robi? Po co? Po co pan się teraz podnosi? Po co czytać, poprawiać, pisać odpowiedzi? Po co składać ten kącik? I proszę nie mówić, że to dla dobra piszących... a może dla czytelników? Proszę nie żartować; kogo ten kącik w ogóle obchodzi? A może... dla siebie? Żeby zaspokoić jakąś swoją potrzebę władzy, decydowania? Próbę wzięcia odpowiedzialności, może? Może czuje się pan samotny, panie Saint? A może jest jakiś inny cel? Dlaczego, dlaczego! Proszę powiedzieć, panie Saint!

Powoli się podnosiłem; słowa agenta Leszczyńka z trudem do mnie docierały, ale rozumiałem je.

Stałem na nogi w miarę pewnie; zwróciłem wzrok na wykrzywioną w grymasie nienawiści twarz.

- Bo tak wybrałem.

To zlekceważenie, prostota tej odpowiedzi rozsierdziła agenta; ruszył na mnie. Z trudem zablokowałem jego ciosy, ale się udało; całą resztkę swojej siły włożyłem we własne uderzenie. Moja pięść parła niepowstrzymanie przez krople deszczu, bezbłędnie trafiając w twarz Leszczyńka; czułem, jak jego szczeka się przemieszcza pod wpływem ciosu. Stał tak, oszołomiony i bezbronny. Nie trzeba było dużej siły; jednym kopnięciem wbilem go w ścianę krateru, który wybiliśmy upadkiem.

Stałem tak, dysząc; zobaczyłem, jak na obrzeżach krateru zbierają się autorzy, ciekawi, co się stanie. Nagle poczułem drżenie; Leszczynek wyrwał się spod ziemi, ubłocony.

- To jest mój świat! - krzyknął.

Poczułem, jak wstępują we mnie nowe siły. Leszczynek tym okrzykiem obudził w autorach ostry sprzeciw; obojętne, co kto myślał o kąciku, na dźwięk tych słów poczuł, że jego praca jest mu zabierana. Sprzeciw autorów przeciw agentowi przywrócił mi z naddatkiem utraconą energię; wyprostowałem się. Leszczynek, zaślepiiony nienawiścią, nic nie zauważył i zaczął pikować ku mnie. Ale tym razem już wiedziałem, kto wygra. W chwili, gdy od ubłoconego, pałającego nienawiścią Leszczyńka dzieliły mnie

centymetry, zadałem jeden cios pięścią. W głowę. Ta pękła niczym główka drewnianej kukielki i oderwała się od ciała; to jeszcze leciało kawałek, po czym pało bezwładnie w błoto. Agent Leszczynek przegrał.

Kiedy emocje opadły, kiedy już się rozwidniło, kiedy zdekapitowane ciało agenta rozplynęło się jak zły sen, kiedy krater zniknął samoistnie, podszedł do mnie Janek Enem.

- Skończyłeś Sage - powiedział.
- Tak... muszę przyznać, że myślałem, że będzie gorzej. Dużo gorzej.
- Tak... ale co ja będę teraz pisał!?
- Hm... Saga tak czy inaczej się skończyła, gościła ona kawałek czasu w kąciku; a skoro jest zakończenie, głupio by było to dalej kontynuować. Ale zawsze możesz napisać jakieś opowiadanie... zresztą chyba nie chcesz, by Łukasz, Leszczynek czy inny posłaniec ciemnoty powrócił?
- No... nie...
- Więc jeszcze raz: The Grejt AM#Opowiadania i Dzedaj Saga zakończona. Możesz teraz w spokoju pisać nowe opowiadanie, z wymyślonymi przez siebie nowymi bohaterami... budować i wzmacniać ten świat, świat AM#Opowiadań swoją pracą... tak jak każdy z piszących... I tak jak ja to będę w miarę swoich możliwości czynił...
- No... w sumie tak...

Na końcu podeszła do mnie ciocia W., fontanna wiedzy ogólnej.

- I jak myślisz ciociu W., udało mi się zrobić to Grand Finale? Widać było pomysł?
- Nie mnie to rozsądzać - jej głos był głosem rozsądku.
- Masz rację...
- Tobie pozostaje w tym Grand Finale - cieszyłem się, gdy ciocia W. użyła tej nazwy - wypowiedzieć końcowe zdanie.
- Tak zrobię. Uwaga! Na wypadek, gdyby nie było widać pomysłu... słownik wyrazów obcych podaje: "grand" znaczy "ogromny, potężny, wspaniały, długi". Ten odcinek, bądź co bądź, krótki nie był... więc jednak nazwa Grand Finale jest usprawiedliwiona. Ufff...

Zakończono pisać w sobotę, a właściwie w niedzielę, cztery minuty po północy.

Mariusz Saint

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

JNK NM, dodano 15.01.2007 12:51

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.